

ĆWIEK

JAKUB



DRELICH

PROSTO W SPLOT

MARGINESY



Najstraszniejsze zdanie, jakie Milena kiedykolwiek przeczytała, zaczęło się od „kochanie” i składało z czterech słów. Ich autorem był jej mąż, Zygmunt Wójcik. Dwa dni wcześniej wyjechał służbowo i miał wrócić w sobotę. Ostatnio często jeździł i bardzo dużo pracował w domu, ale wreszcie zaplanował sobie urlop. Obiecał, że zaczną go z kopyta i w niedzielę zrobią sobie dzień rodzinny. Pójdą z dziećmi na jakiś film, zjedzą na mieście, może wybiorą się na długi spacer albo nawet wyjadą za miasto. A potem tradycyjnie do wesołego miasteczka.

„Niedługo dzieci zapomną, jak wyglądam” – powiedział ostatnio jej matce, choć Milena wątpiła, by to w ogóle było możliwe.

Złożone z czterech słów straszne zdanie Zygmunt Wójcik wysłał do żony wraz ze zdjęciem na WhatsAppie o godzinie piątej czterdzieści pięć, ona jednak odczytała je dopiero czterdzieści minut później, już po porannych ćwiczeniach i szybkim prysznicu. Dwa miesiące wcześniej obejrzała dokument o skutkach uzależnienia od internetu oraz smartfonów i przysięgła sobie solennie, że odczyta się rozpoczęcia dnia od Instagrama czy Facebooka. Świat był w stanie poczekać z wiadomościami, zanim Milena Wójcik się ogarnie i zasiądzie do śniadania.

Tak też zrobiła tego dnia. Krzątając się po kuchni, nuciła refren jakiejś piosenki, kilka taktów, które chodziły za nią od wczoraj, choć nie potrafiła ich zidentyfikować. Towarzyszył jej pies, wiekowy, schorowany czarny labrador wabiący się Murzyn. Liczył, że załapie się na miche, i stał teraz na środku kuchni, między wyspą a zmywarką, tarasując przejście. Często tak robił, a gdy Milena się spieszyła, potrafiła na niego fuknąć albo wręcz trącić nogą. Tego dnia pogładziła go po łbie i poczęstowała smakołykiem w kształcie kostki ze słoiczka przy lodówce.

Z przygotowanym jedzeniem usiadła przy stole w jadalni, jak zawsze bokiem do przeszklonej ściany wychodzącej na taras i ogród, i dopiero wtedy z kieszeni szortów wyjęła telefon. Trzymała go w le-

wej ręce, prawą wznosząc łyżeczkę owsianki na mleku z truskawkami, gdy urządzenie rozpoznało jej twarz, odblokowało ekran i poinformowało, że na WhatsAppie ma jedną nową wiadomość.

Usłyszała dochodzące z góry klaskanie bosych stóp o płytki, a potem mocne uderzenie we włącznik światła – to przebudziła się sześćioletnia Wanesa. Kilka sekund później zabrzmiała piosenka otwierająca z *Fineasza i Ferba*, co znaczyło, że czteroletni synek Bartuś również wstał i jak zwykle, korzystając z nieobecności taty, od razu włączył telewizor w sypialni rodziców.

Milena wiedziała, że powinna przypomnieć Wanesie o kapciach. Oboje byli przeziębieni, dlatego zostali w domu. Wiedziała też, że powinna wejść na górę i kazać synowi najpierw włożyć przygotowane na krzeselku ciuszki, a potem dopilnować, by faktycznie to zrobił.

Za chwilę, postanowiła. Jeszcze przez pięć, może dziesięć minut miała czas dla siebie. Mogła w spokoju zjeść owsiankę, pobuszować w internecie, zobaczyć kilka ulubionych profili, stron. Pośmiać się z memów, które nie powinny już jej, prawie czterdziestoletniej baby, śmieszyć, a jednak śmieszyły czasem aż za bardzo. Ale najpierw wiadomość.

Kliknęła w powiadomienie, spojrzała na zdanie, a gdy zdjęcie się doczytało, zamarła. Poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy, zabiera ze sobą całe ciepło, paraliżuje każdy mięsień. Lodowaty chłód rozchodził się po ciele, rozgałęział jak kwiaty mrozu na szybach w styczniową noc i pełzył w stronę dekoltu, w stronę serca.

Wzdrygnęła się, gdy po kręgosłupie przeszedł jej impuls nie tyle bólu, ile ostrzeżenia przed nim. Jakby coś ostrym szponem przejechało od potylicy w dół pleców. Kilka razy w życiu już to czuła, ale nigdy nie potrafiła nazwać tego zjawiska, nie potrafiła go wytłumaczyć ani się z nim oswoić. Dziś poczuła to mocno, wyraźnie jak jeszcze nigdy.

Szumiało jej w uszach. Z oddali słyszała pełen pretensji krzyk Bartusia, brzdęk uderzającej o blat łyżeczki, mlaskanie Murzyna zlizującego z apetytem odrobinę owsianki, która spadła na podłogę.

Na zdjęciu, print screenie zrobionym z jej niedawnej messengerowej konwersacji, dobrze zbudowany mężczyzna stał na śródziemnomorskiej plaży. Był mokry, jakby dopiero wyszedł z wody. Miał na sobie tylko kąpielówki w pionowe czerwono-czarne paski i okulary przeciwsłoneczne typu Aviator, ze szklami o niebieskim poblasku. Lewą dłonią przeczesywał włosy, w prawej trzymał papierową paczkę z churros obtoczonymi w cynamonie i cukrze. Szcherzył się w głupkowatym uśmiechu wyrośniętego dziecka.

Milena знаła to zdjęcie bardzo dobrze. Wiedziała też, co w konwersacji, z której je wyrwano, znajdowało się powyżej i poniżej. Samo zdjęcie, w gruncie rzeczy niewinną fotkę znad morza, można by przecieź jeszcze jakoś wytłumaczyć, nazwać wygłupem ze znajomym, może nawet omyłkową wrzutką, ale już rozmowy, fotografie i filmiki, które ona sama kręciła w łazience, czując się przy tym chcianą jak chyba nigdy wcześniej – nie, tego wyjaśnić już się nie dało.

„Kochanie, kto to jest?” – zapytał w swojej wiadomości Zygmunt. Mimo że z pewnością znał odpowiedź. Aż za dobrze.

A może nie?

Uczepiła się tej myśli. Wbiła weń hybrydowymi paznokciami, wgrzyzła równiutkimi białutkimi zębami za kilkadziesiąt tysięcy. Może nie wie? Może dostał od kogoś tylko to jedno zdjęcie i teraz po prostu zarzuca przynętę? Bo tamten ktoś zażądał pieniędzy za więcej, a Zygmunt Wójcik nie lubił sięgać do kieszeni, skoro mógł mieć coś za darmo. Jeśli tak, była gotowa zapłacić temu komuś każdą cenę, byleby mąż nigdy się nie dowiedział. Każdą. Każdą, kurwa, cenę!

Nigdy mnie nie uderzył, uświadomiła sobie nagle. Słowa te zabrzmiały w jej głowie wypowiedziane głosem Mileny, ale obce, nienaturalne, jakby z syntezatora mowy. Nigdy mnie nie uderzył.

To prawda, nigdy. Nawet rzadko kiedy krzyczał. Był niczym pazur sunący po jej kręgosłupie.

„Kochanie, kto to jest?”

Wpatrywała się w tę wiadomość, a chaos myśli w głowie powoli cichł niczym muchy krążące nad truchłem, które poderwały się nagle,

by znów wrócić na miejsce. Bo, czuła to coraz mocniej, Zygmunt nie zarzucał przynęty. On wiedział już wszystko. Jakimś cudem, mimo że od razu i starannie wszystko kasowała, zdobył całą tę rozmowę i wiedział...

– Nigdy mnie nie uderzył – szepnęła. – Nigdy.

Nie miała pojęcia, jak długo siedziała w tej pozycji, ale gdy wreszcie się ocknęła i uniosła głowę, zobaczyła, że Wanesa stoi przy schodach i z uwagą jej się przygląda. Śliczna mała blondyneczka o zadartym nosku i dużych jasnym oczach, teraz pełnym niepokojem.

Milena spróbowała się uśmiechnąć.

– Włóż kaptcie, skarbie – poprosiła cicho, tym samym głosem, który słyszała we wnętrzu głowy. Jej własny syntezytor mowy.

Telefon w ręce zawibrował. Aż podskoczyła ze strachu, ale nie krzyknęła ani nie upuściła aparatu. Spojrzała na ekran. Kolejna wiadomość od Zygmunta. Musiał zobaczyć, że odczytała poprzednią.

„Będę w południe. Nie szykuj obiadu”.

Drelich obudził się o siódmej dwadzieścia trzy, siedem minut przed sygnałem budzika. Przewrócił się na plecy, zaplótł ręce na karku, przymknął oczy i czekał. Gdy sygnał wreszcie rozbrzmiał, uciszył go po pierwszym dźwięku i poszedł do niewielkiej obskurnej łazienki. Tam się wysikał, wziął prysznic i umył zęby, odhaczając punkty na liście w głowie. Na koniec dwiema wodoodpornymi kredkami, cielistą i brązową, narysował sobie dwie blizny.

Pierwsza była krótka, ale szeroka i postrzępiona. Zaczynała się przy lewym oku i ciągnęła dwa centymetry w stronę ucha. Druga, długa i prosta, przecinała policzek pokryty dwutygodniowym zarostem. Obie utrwalił za pomocą kolodiu rozproszanego pędzelkiem na naciągniętej skórze, a następnie odczekał cztery minuty, starając się nie poruszać mięśniami twarzy. Środek zastygł, tworząc efekt pomarszczonej zabliznionej skóry. Wyszło równie dobrze jak wczoraj.

Spakował niewielką rolowaną kosmetyczkę, upewnił się, że o niczym nie zapomniał, i wyszedł, zostawiając ręczniki na podłodze pod umywalką.

W pokoju włożył przygotowane dzień wcześniej rzeczy – bieliznę, czarne dżinsy i grafitową koszulkę, stopy wcisnął w lekkie sportowe buty, które następnie zawiązał na podwójny węzeł. Na lewej ręce zapiął zegarek, jak zawsze umieszczając kopertę od wewnętrznej strony nadgarstka, tam gdzie zwykle się badać puls. Stryj Józef robił tak, bo wierzył, że w ten sposób wyczuwa czas podskórną, w żyłach – coś jak nauka przez chowanie książki pod poduszkę. Drelich uważał po prostu, że tak jest wygodniej.

Zwinął ładowarkę, wrzucił ją do plecaka, po czym go zapiął i postawił między nogami. Telefon przysunął do krawędzi komody, przecesał krótkie wilgotne włosy, rozluźnił mięśnie, wyrównał oddech i zamarł w oczekiwaniu na drugi dzwonek. Normalnie miałby teraz czas na szybki trening, ale nigdy nie ćwiczył w ten ostatni dzień. Wtedy każda zgromadzona energia mogła być na wagę złota.

Równy o ósmej wstał, zarzucił plecak na jedno ramię i schował masywnego smartfona do przedniej kieszeni spodni. W progu jeszcze raz omiótł spojrzeniem pokój, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Czterdzieści pięć minut później, już po śniadaniu złożonym z jajecznicy na boczku, dwóch frankfurterek i filiżanki kawy, wymeldował się z hotelu. Tym razem – inaczej niż w czterech pozostałych przybytkach z okolicznych miast, w których spędził ostatni tydzień – nie potrzebował faktury, więc tylko wrzucił klucz do skrzynki z przezroczystej pleksi obok kontuaru.

Gruba dziewczyna w wyblakłej koszulce z logo hotelowej sieci podniosła wzrok znad telefonu, a gdy ich spojrzenia się spotkały, znudzonym głosem podziękowała za wizytę i zaprosiła go ponownie. Drelich widział, że z całych sił stara się nie patrzeć na bliźnę na policzku.

– Trzeba wymienić żarówkę w lampce przy łóżku – zauważył. – I w szafie chyba coś zdechło, przytrzaśnięte żelazkiem.

Dziewczyna westchnęła, niechętnie odłożyła telefon i przysunęła się do komputera. Poruszyła myszką, by obudzić ekran. Zauważył, że nie wpisała po tym żadnego hasła.

– Który pokój? – zapytała.

– Sto piętnaście. Naprawdę coś z tym zrobicie?

Uśmiechnęła się tak, że przez krótki moment wyglądała nawet ładnie.

– Od tygodnia szukamy żelazka – odparła.



Trzy minuty przed dziewiątą Drelich zaparkował skodę rapid pod Biedronką na obrzeżach miasta. Wybrał miejsce w czwartej alejce od sklepu, tak by nie znaleźć się w zasięgu kamer ani nie stanąć przy samym trawniku i drodze. Przeszedł się po bilecik, który następnie umieścił na desce rozdzielczej od strony kierowcy. Z bagażnika wzięł szary zapinany polar, drugi, mniejszy plecak, podłużny rulon zawi-

nięty w papier i czapkę z mocno wygiętym daszkiem. Tę ostatnią założył, a gdy okazała się za ciasna, wyregulował. Wszystkiemu, co robił, przyglądała się trzyletnia dziewczynka czekająca cierpliwie, aż jej mama znajdzie coś na tylnym siedzeniu samochodu. Mała miała krótkie kręcone włosy układające się nieomal w afro i sukienkę w czarno-białą kratę z eleganckim kołnierzykiem. Pod pachą ścisnęła pokracznego stworka o włosach jak sprężynki z – o ile Drelich dobrze pamiętał – telewizyjnej reklamy cukierków.

– Co się panu stało w buzi? – zapytała.

– Nie słuchałem mamy i upadłem na szkło – odparł.

Dziewczynka powoli, z rozmysłem pokiwała głową.

– Bolało?

– Bardzo – przyznał.

Kolejne pełne rozmysłu kiwnięcie.

– A mama kazała panu nie upadać?

Na to pytanie już nie zdążył odpowiedzieć, bo mama, która do tej pory była parą pośladvików w spranych dżinsach wystających z tylnego siedzenia, stała się blondynką pod trzydziestkę, z prostym wąskim nosem, włosami przyciętymi do linii zuchwy i bardzo zmęczonymi oczami.

– Miśka, daj panu spokój! – rzuciła do córki, po czym przeniosła wzrok na Drelicha. – Przepraszam pana najmocniej, czasem trudno przewidzieć, co jej strzeli do głowy.

Uśmiechnął się lekko, uważając, by nie uszkodzić blizn.

– Na razie wygląda na to, że jest ciekawa i chce się uczyć na cudzych błędach – odparł. – To nie są takie znowu złe cechy.

Założył plecak i wyregulował paski, upewnił się, że zamknął samochód, po czym ruszył w stronę pobliskiego osiedla.

Białe sfatygowane renault kangoo stało tam, gdzie je wczoraj zostawił – vis-à-vis salonu fryzjerskiego Afrodyta, dwa miejsca od śmietnika. Odebrał je wczoraj z parkingu przy Castoramie koło szesnastej. Czekало na niego z kluczykami zamocowanymi do prawego przedniego nadkola i z kopertą na siedzeniu kierowcy informującą,

że auto należy do drobnego przedsiębiorcy, który obecnie przebywa z rodziną na krótkich wakacjach w Hiszpanii. Dla Drelicha była to informacja zbędna. Dość konkretnie wyraził swoje zapotrzebowanie, ufał dostawcy, ale nie interesowały go zaśmiecające pamięć szczegóły. Upewnił się natomiast, czy w bagażniku są dodatkowe tablice rejestracyjne, po czym przeparkował auto we wcześniej zaplanowane miejsce.

Z osiedla wyjechał o dziewiątej piętnaście. Siedem minut poświęcił na korek wygenerowany przez dwa ronda znajdujące się zbyt blisko siebie na drodze przelotowej, a potem jeszcze trzy na wyjazd z miasta. O dziewiątej czterdzieści trzy skręcił z głównej drogi na wybrany przedwczoraj leśny parking, zaparkował za wiatą dla podróżnych i sprawnie wymienił tablice rejestracyjne. Z plecaka wyjął trzy tubki farby – białą, szarą oraz czarną – i za ich pomocą zaimprovizował kilka ptasich kup na dachu i przedniej szybie, ze szczególnym uwzględnieniem naklejki z hologramem i rejestracją. Mógł to zrobić wczoraj, ale z prognozy pogody wynikało, że w nocy możliwe są deszcze, więc wołał nie ryzykować. Z rulonu wyjął dwa zwinięte magnesy przedstawiające uproszczony przekrój domku jednorodzinnego z instalacją rozchodzącą się od słoneczka ukrytego w piwnicy. Jedna ze ścian domku stanowiła również literę I w napisie „InstalDom”.

Drelich umieścił magnesy na przednich drzwiach kangoo, następnie umył ręce wodą z małej butelki i środkiem odkażającym, po czym wsiadł do auta. Zrobił kilka kółek na pylistym parkingu, by magnesy przestały się wyróżniać czystością, i o dziesiątej cztery z powrotem był na drodze. Zgodnie z planem miał teraz co najmniej pięćdziesiąt sześć minut, z czego jedenaście na dojazd na miejsce. Nie musiał się spieszyć, a że nie jechał na lokalnych tablicach, utrzymywał prędkość poniżej dziesięciu kilometrów niż dozwolona.

Z tego wszystkiego wjechała w jednokierunkową pod prąd. Wyjeżdżający właśnie SUV zatrąbił i zahamował gwałtownie, a siedzący za kierownicą łysiejący mężczyzna zaczął krzyżeć, gestykulując energicznie. Iza uśmiechnęła się przepraszająco i obejrzała przez ramię, czy może wycofać.

– Dobra, Ewa, teraz naprawdę nie mogę – powiedziała, wyjeżdżając ostrożnie tyłem na główną drogę. Ktoś w niebieskim seacie mignął jej światłami, dając znać, że śmiało, on zaczeka. – A, i przez godzinę nie dzwoń, bo będę w szkole Nikodema... Nie wiem, co się stało. Wezwali mnie, więc zaraz się dowiem. W każdym razie daj znać, jak tylko przyjdzie... No to skoro masz nie dzwonić, to chyba esemesem, nie? I napisz mi, co z tymi eklerami. Cześć.

Rozłączyła się delikatnym puknięciem w bezprzewodową słuchawkę, wbiła jedynekę i ruszyła. Po paru metrach mignęła awaryjnymi, by podziękować kierowcy seata, ale zamiast tego mignęła temu z SUV-a, który zdążył się wcisnąć tuż za nią. Widziała w lusterku, że facet wciąż jest czerwony z wściekłości i ewidentnie mamrocze pod nosem. Mógł rzecz jasna, jak ona przed chwilą, rozmawiać przez słuchawki, ale raczej w to wątpiła. No ale cóż, kto jest bez winy... W jego sytuacji zachowałyby się pewnie podobnie.

Na następnym skrzyżowaniu skręciła już prawidłowo i po dwustu metrach zaparkowała pod szkołą. Przejrzała się w lusterku, złapała za torebkę i wysiadła.

Trwała akurat przerwa i na boisku panowała istic piknikowa atmosfera. Niektórzy uczniowie siedzieli na rozciągniętych na trawie kurtkach, inni wprost na ziemi, schodach albo oparciach ławek. Grupka starszych chłopców grała w piłkę na jedną bramkę, smukły nastolatek popisywał się przed siedzącymi na murku koleżankami, sprawnie podbijając skórzaną dwukolorową zośkę. Kto miał drugie śniadanie ze sobą, zajmował miejsce przy kamiennych stolikach; kto nie miał, ruszał w niezgodną z regulaminem pielgrzymkę do pobliskiej Biedronki.

Nikodem czekał na nią przy bramie, opierając się o siatkę, wyraźnie podenerwowany, ale nie jak wtedy, gdy faktycznie coś przeskrobał. Wyglądał teraz jak chłopięca wersja matki: szczupły, drobny, z ciemnymi włosami raz po raz przeczesywanymi nerwowym ruchem. Na jego coraz już mniej dziecięcej buzi malowała się wściekłość na niesprawiedliwość świata. Gdy zauważył Izę, ruszył w jej stronę.

– Cześć, mamó – mruknął

– Nawijaj. Tylko prawdę – zastrzegła, nawet nie zwalniając. – Do której trwa przerwa?

– Dopiero się zaczęła – odparł jeszcze normalnym głosem, by zaraz płynnie osiągnąć wyższy rejestr. – I to serio nie moja wina. To Kajetan zaczął!

Jego głos falował, jakby ktoś regulował to basy, to znów wysokie tony, trochę jak przy mutacji, na którą jako jedenastolatek był jeszcze za młody. To znaczy chyba. Iza nigdy nie pozowała na matkę roku i nie ukrywała, o jak wielu sprawach związanych z rodzicielstwem nie miała pojęcia.

Weszli na teren szkoły. Szeroki na osiem płyt chodnik wiódł do sześciu schodów prowadzących do głównego wejścia. Dzieciaki, zwłaszcza te młodsze, oglądały się na nich i komentowały coś cicho. Najstarsi chłopcy, kryjący się pod daszkiem wiaty po lewej, gapili się na jej opalone nogi. Jeden z nich powiedział coś do pozostałych i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Mów całą prawdę i po kolei – poleciała, wyjmując słuchawki z uszu i chowając je do pudełeczka. – Tylko się skup, bo nie mamy za wiele czasu. Co zaczął Kajetan? I kto to w ogóle jest? Z twojej klasy? Jakiś nowy?

– On jest z c. No i powiedział... – Chłopiec zawahał się. – Powiedział, że klękasz i obciążasz za pieniądze.

Iza aż przystanęła.

– Co takiego?

– No, powiedział...

– Dobra, słyszałam – przerwała mu. – On w ogóle wie, co to znaczy?

Wzruszył ramionami.

– Pewnie gdzieś usłyszał. Ja wiem.

Spojrzała na niego i na widok jego zaciętej miny mało nie parsknęła śmiechem. Oczywiście, że wiesz, panie mały mądralo, pomyślała. Oczywiście, że, kurwa, wiesz!

Odkasznęła w zaciśniętą dłoń i w myślach policzyła do pięciu.

– Dobra, powiedział to, co powiedział. A co ty zrobiłeś?

– Walnąłem go. – Nikodem odparł takim tonem, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem. – I chyba złamałem mu nos.



Schody wiodące na pierwsze piętro wyklejono angielskimi czasownikami nieregularnymi. Kończyły się na „do”, a Iza, prześlizgując się wzrokiem po trzech formach, mimowolnie próbowała sobie przypomnieć, ile ich wszystkich jest i czy w podstawówce jej syna wystarczy dla nich schodów. A może przeciwnie, było ich za mało i któreś schody świeciły pustkami? Albo wyklejono je czymś innym?

Zdała sobie sprawę, że ponieważ klasa Nikodema mieściła się na parterze, a wcześniej ta Zośki na pierwszym piętrze, niedaleko schodów, nigdy nie zapuszczała się w inne rejony szkoły. Czy to z jakiegoś powodu czyniło ją złą matką? A może bardziej to, że jedenastoletni syn właśnie złamał nos koledze w obronie jej honoru? Cóż, pomyślała, za to drugie jest chyba więcej ujemnych punktów.

Telefon w jej dłoni zawibrował. Spojrzała na ekran i odczytała esemesa od Ewy: „Przyszedł wreszcie. Ale pączki nie rosną. Choć zacznij w porządku”.

Jak cholerne haiku, pomyślała Iza. Koślawe haiku o bardzo złym dniu.

Nikodem włókł się pół kroku za nią, co zdawało się zaprzeczać prawom fizyki. No bo jak to było możliwe, że ona się spieszyła, niemal łamiąc na schodach obcasy, on się włókł, a mimo to cały czas dzieliło ich tylko pół kroku? Wystarczyło lekko skrócić głowę i już go widziała – naburmuszoną minę, zaciśnięte piąstki, wicherek na

czubku zwieszanej głowy. Czuł się wyraźnie skrzywdzony tym, że na niego krzyknęła, gdy powiedział, co zrobił i dlaczego. A może raczej zawstydzony, że zrobiła to przy kolegach i koleżankach.

Teraz, gdy tak szli, dzieciaki też się gapily. Wszystkie. I te oparte o poręcze, i te siedzące na ławeczkach czy podłodze, stojące w kolejce do mikrogo sklepiku – każde z nich poświęciło Nikodemowi i jego matce przynajmniej jedno przeciągłe spojrzenie pełne niechęci.

Ludzie patrzą tak czasem na bezdomnych, pomyślała Iza. Jakby ochronna maseczka z pogardy mogła ich ustrzec przed zarazkami biedy i życiowego niefartu.

Kajetan i jego tata czekali już na nich pod gabinetem dyrektora. Kajetan był chłopcem o wielkich tępych oczach cielaka i stanowczo za małych bladych ustach. Z postury podobny do Nikodema, choć nieco chudszy. Nos miał teraz nabrzmiały i opuchnięty, jednak z pewnością nie złamany, co Iza potraktowała jako mały, ale zawsze prezent od losu.

Ojciec Kajetana był natomiast naprawdę dużym mężczyzną. Przynajmniej metr osiemdziesiąt pięć, typ topornego klocka z dużą okrągłą głową, do której nie pasowała modna fryzura z wysoko podgolonymi bokami. Na podwójnym podbródku nosił krótki, równo przycięty zarost, a na nosie okulary od Hilfigera. Całkiem ładny garnitur leżał na nim swobodnie, choć marynarka była rozpięta raczej z konieczności niż przejawu nonszalancji. Trzy, cztery kilo temu pewnie jeszcze się dopinał.

Na widok Izy i Nikodema pochylił się i zwrócił do syna najpewniej zapytaniem, a ten odpowiedział, kiwając głową. Mężczyzna wyprostował się, wyprężył i uśmiechnął paskudnie.

– Dzień dobry – powiedział głośno, gdy Izę dzieliły od niego jeszcze przynajmniej trzy metry. – Nie sądzi pani, że w takiej sprawie powinien się tu zjawić raczej ojciec chłopca?

Trzeba było poczekać z aferą do pieprzonego jutra, pomyślała, nie zwalniając kroku. Jeden cholerny dzień i miałbyś swoją męską pogawędkę, dupku. Przygryzła wargę, co facet, sądząc po jego minie, uznał za zakłopotanie. Szybko wyprowadziła go z błędu.

– Och, to zależy. Pana syn dostał podbródkowym czy prostym? Facet zamrugął, odchrząknął nerwowo.

– Nie widzę związku – powiedział w końcu, gdy była już właściwie przy nim.

Zatrzymała się i uniosła lekko głowę, by spojrzeć mu w oczy.

– Gdyby to był podbródkowy, to miałby pan rację – odparła, siląc się na powagę. – Tego ciosu faktycznie nauczył się od ojca. Chodź, Nikodem.

Zapukała, otworzyła drzwi i weszła do sekretariatu.

4

Według informacji, jakie Drelich wyszukał w internecie, miasteczko miało obecnie około piętnastu tysięcy mieszkańców i zajmowało powierzchnię siedmiu i pół kilometra kwadratowego. Miejscowość w okresie międzywojennym uzdrowiskowo-wypoczynkowa w latach sześćdziesiątych została siłą wepchnięta w objęcia przemysłu, co zaowocowało fabryką armatury przemysłowej, zakładami odzieżowym i produkcji mebli. Za komuny miasteczko wychodziło na tym całkiem dobrze, ale na początku lat dziewięćdziesiątych mieszkańcy ciężko przeżyli zmianę ustrojową, reformę Balcerowicza i całe to przyspieszone gonienie Zachodu. W nowe tysiąclecie wchodzili z jednym z najwyższych współczynników bezrobocia, paskudną statystyką przestępstw drobnych i jednym z najwyższych współczynników spożycia alkoholu na mieszkańca.

Na prostą wyszli dopiero koło dwa tysiące siódmego za sprawą wysiłków młodego przedsiębiorczego burmistrza i przede wszystkim dużych, dobrze spożytkowanych dotacji z Unii. To dzięki nim i społecznemu zaangażowaniu udało się przywrócić miastu status uzdrowiska, odbudować okoliczne szlaki, ściągnąć turystów. Wciąż było jeszcze dużo do zrobienia, ale, co najważniejsze, ludzie zaczęli rozumieć, że opłaca się być miłym dla obcych.

Rzecz jasna nie wszystkich, ale szczęśliwie dla Drelicha rozróżnienia na dobrych i złych dokonywano zwykle po fakcie.

O dziesiątej szesnaście białe kangoo z logo InstalDomu wjechało na rynek miasteczka. Był to prostokątny plac złożony z dwóch porośniętych zielenią kwadratów z przekątnymi w postaci brukowanych chodników i rozdzielony szerokim deptakiem wiodącym z jednej strony prosto do kościoła parafialnego z zabytkowym portalem, z drugiej pod schody znajdującego się naprzeciwko domu kultury. Zgodnie z przepisami ruchu drogowego rynek stanowił skrzyżowanie o ruchu okrężnym. Wjeżdżało się jedną z trzech dróg, ale jedyną sensowną była ulica Jana Pawła II. Druga wiodła od strony granicy

polsko-czeskiej, a trzecia prowadziła z płataniny starych kamieniczek w najbardziej zaniedbanej części miasteczka.

Drelich wjechał od Jana Pawła i jeszcze raz, dla pewności, włączył stoper w komórce. Pokonał dwie trzecie pełnego objazdu i zerknął na cyfry. Wciąż mieścił się w przedziale między pięćdziesiąt sekund a minuta dziesięć. Oczywiście do czasu operacyjnego przyjmował najniższą wartość, ale wolał uwzględnić ewentualne konsekwencje tej najwyższej. Mówiąc krótko, bardziej gotowy już być nie mógł.

Objechał rynek i znalazł się na tej samej drodze. Pięćdziesiąt metrów dalej udało mu się zaparkować pod apteką, więc wysiadł i opłacił bilet parkingowy, choć musiał zrobić dwa podejścia, bo parkometr zażądał numerów rejestracyjnych, których nie znał.

O dziesiątej dwadzieścia siedem zajął miejsce w kawiarni Motyla Noga, złożyłwszy uprzednio przy barze zamówienie na cappuccino i szarlotkę z lodami. Obsłużył go młody chłopak o patykowatym ciele i nieproporcjonalnie dużej głowie. Ewidentnie chciał pogadać, najwyraźniej mu się nudziło – nic dziwnego, w kawiarni prócz nich dwóch nie było nikogo – ale Drelich nie miał ochoty na pogawędkę. Przeprosił grzecznie i usiadł na kanapie przy okrągłym stoliku, mając za plecami ścianę i wiszący na niej plakat z planszą kolorowego komiksu, a przed sobą widok na całe pomieszczenie.

O dziesiątej czterdzieści dostał wiadomość, na którą czekał.

„Już?”

Szybko przeliczył w myślach i zakodował sobie przesunięcie czasu operacyjnego najwcześniej na jedenastą czterdzieści pięć. Kolejny raz pożałował, że nie może określić go precyzyjniej i ponownie przeanalizował wszystkie rozwiązania awaryjne, łącznie z tym ostatecznym. Jeśli do trzynastej nic się nie wydarzy, mimo wszystkich przygotowań i zainwestowanych środków, będzie zmuszony zrezygnować.

O jedenastej czterdzieści Drelich wyszedł z Motylej Nogi, wsiadł do samochodu, wykręcił i wrócił na rynek, objeżdżając dwie trzecie ronda. Za schodami wiodącymi do domu kultury wjechał całym pojazdem na szeroki chodnik, minął bankomat i zaparkował zaraz

za nim, przy wejściu do, jak głosił szyld, Centrum Techniki Ciepłno-Sanitarnej. Włączył światła awaryjne, włożył czapkę i zabrał plecak.

Zamknął kangoo, upewnił się, że piesi mają wystarczająco szerokie przejście obok auta, i zajął miejsce na pobliskiej ławce, tak by widzieć wjazd od Jana Pawła, po czym założył okulary przeciwsłoneczne.

Czuł, jak zegarek tyka mu na nadgarstku. W tym momencie miał wrażenie, że faktycznie zestrza się z pulsem.

Sekretarką wciąż była pani Basia, zbliżająca się do emerytury pogodna okularnica z platynową trwałą. Zmienił się za to dyrektor. Iza czytała coś na ten temat w ogłoszeniach w dzienniku elektronicznym. Szkoła Nikodema wchłonęła inną placówkę powstałą po reformie oświaty, jednak ta dość szybko okazała się za duża jak na lokalne zapotrzebowanie, więc szkoły połączono, uratowano część tamtejszej kadry, a wiekowy pan dyrektor Wnęk – noszący jakże adekwatne imię Sędziwój – dostał odgórnie przydzielonego zastępcę. Niedługo potem wyłądownął na rekonwalescencji z powodu powikłań po zapaleniu płuc. Dlatego to właśnie zastępca, dobrze zbudowany szpakowaty czterdziestolatek w sportowej marynarce, przywitał ich w sekretariacie, w progu swojego gabinetu.

– Waldemar Olszewski, dzień dobry państwu – powiedział, wyciągając rękę do Izy. – Dziękuję, że państwo przyszli. Pani Drelich, jak zagaduję?

– Lemańczyk – poprawiła. – Drelich to nazwisko syna. I byłego męża.

Za plecami usłyszała prychnięcie i nie musiała się odwracać, by domyślić się miny ojca Kajetana.

Olszewski natomiast taktownie skinął głową, nie przestając się uśmiechać.

– Rozumiem i przepraszam. Bardzo mi miło panią poznać.

Przesunął się lekko, by przepuścić Izę w progu i wyciągnąć rękę do stojącego za nią mężczyzny.

– W tym przypadku już raczej się nie pomyślę, prawda? Pan Rawicz?

– Od urodzenia do śmierci – odparł tamten z dumą.

Gdyby Iza tylko chciała, spokojnie mogłaby się powstrzymać. Ale zdecydowanie nie chciała.

– Skąd ta pewność? Pan, przepraszam, właśnie umiera? – zapytała z udawaną troską.

Tym razem Olszewski parsknął, nieudolnie próbując zamaskować wesołość kasznięciem.

– Teraz to ja już się nie dziwię, skąd ta cała sytuacja – sapnął Rawicz.

– Tak, ja również nie – zgodziła się.

– Drodzy państwo, zapraszam do siebie – wtrącił się Olszewski. – Chłopcy może niech zaczekają przed sekretariatem, dobrze, chłopaki? Mogę na was liczyć? Nie pobijecie się?

Nikodem już otwierał usta, ale spiorunowany spojrzeniem matki zaraz je zamknął i tylko pokręcił głową.

– Nie, proszę pana – wymruczał ledwie zrozumiałe Kajetan.

Gabinet wicedyrektora był urządzone dość skromnie. W kącie narożny stoliczek o trójkątnym blacie z baterią kubków i kapsułkowym ekspresem do kawy. Naprzeciwko okna nowiutkie regały z Ikea, stopniowo wypełniające się segregatorami, książkami o wychowaniu, rozporządzeniami ministra edukacji. Na jednej z niższych półek Iza zauważyła także kilka komiksów, dwie powieści Childa i pudełko jakiejś gry planszowej, a ponieważ nie były to przedmioty, które można skonfiskować uczniom podstawówki, poczuła do wicedyrektora cień sympatii.

Na ścianie na wprost wejścia znajdowało się godło, a po obu jego stronach, niczym dwóch biblijnych łotrów, wisiały duże antyramy – jedna z fotografią zamku w Ogródzieńcu o wschodzie słońca, druga z kodeksem praw dziecka stylizowanym na stronicę średniowiecznej księgi. Pod godłem czyste biurko Olszewskiego i stolik z czterema krzesłami układały się w literę T. Iza zajęła miejsca po lewej stronie stołu, tak by mieć za plecami okno i nie musieć nieustannie mrużyć oczu. Rawicz, chcąc nie chcąc, usiadł naprzeciwko.

Czuła, jak jej się przygląda, i wnioskuje z jego pełnego satysfakcji półuśmiechu, dość szybko była w stanie wywnioskować, jaki obraz stworzył sobie w głowie. Niemal wszyscy faceci zwracali uwagę na to samo: duże ciemne oczy, które w ich przeświadczeniu miały świadczyć o naiwności i uległości, prosty mały nos i pełne usta. Czasem zauważali też wyraźne kości policzkowe i to za ich sprawą przypisywali

jej podobieństwo do różnych, zupełnie do siebie niepodobnych hollywoodzkich aktorek. Coś w każdym razie było w tym zestawie uroczono naiwnego i właśnie to dostrzegła w oczach i uśmiešku Rawicza.

– Komuś z państwa kawy? – zaproponował Olszewski, obchodząc stół. Gdy oboje podziękowali, zajął swoje miejsce, zamknął laptopa i oparłszy łokcie o blat, zaplótł dłonie w tę cholerną nieszczerą piramidkę, tracąc tym gestem niemal wszystkie punkty, jakie w oczach Izy zyskał komiksami i planszówką. – Zakładam, że oboje państwo wiedzą, dlaczego tu się spotykamy.

– Tak – powiedziała Iza. Odłożony na blat telefon zawibrował kolejnym esemesem od Ewy: „Jakieś sugestie, co robić?”. Wyłączyła wibracje.

Rawicz nie odpowiedział na zadane pytanie. Rozsiadł się za to wygodnie na swoim krześle, wyciągając nogi pod stołem i przerzucając niedbale prawą ręką przez poręcz, tak by zwrócić się w stronę biurka i całym sobą pokazać, że w zasadzie tylko wicedyrektor jest tu dla niego partnerem do rozmowy.

– To znaczy ja wiem – doprecyzowała Iza. – Za wiedzę obecnego tu pana...

– Och, dajmy już spokój! – wszedł jej w zdanie Rawicz. – To oczywiste, że wiemy, w czym problem. Wszyscy widzieliśmy twarz mojego syna.

Tym razem Iza nie powiedziała pierwszego, co przyszło jej na myśl. Skupiła natomiast wzrok na Rawiczu, zmuszając go niejako, by wreszcie na nią spojrzeć. Gdy to zrobił, uśmiechnęła się.

– Nikodem uderzył Kajetana w twarz – powiedziała. – Uderzył go z pięści, na szkolnym boisku, i z tego, co powiedziała mi przez telefon pani Ślusarczyk, zaraz po tym, gdy to zrobił, poszedł do niej, żeby się przyznać.

– I co to niby zmienia?! – warknął Rawicz.

– Niczego to nie zmienia. Ja tylko ustalam fakty i upewniam się, że wszyscy wiemy to samo. Bo na razie wiemy to samo, prawda, panie dyrektorze?

Olszewski skinął głową.

– Pani Ślusarczyk skontaktowała się z wychowawczynią pana syna, panią... – Zawahała się.

– Kostrzewską – podpowiedział dyrektor. – Pani Kostrzewska uczy u nas matematyki i jest wychowawczynią piątej c.

– Tak właśnie, dziękuję. Skontaktowały się ze sobą, zadzwoniły do pana, do mnie i zgłosiły panu dyrektorowi. Nie wiem, w jakiej kolejności. W tym czasie pana syn był, o ile się orientuję, u pielęgniarki. Zgadza się?

Rawicz ostentacyjnie zadarł lewą rękę, by spojrzeć na zegarek.

– Naprawdę będziemy marnować czas na te oczywistości? – zapytał Olszewskiego.

– Obawiam się, że po to właśnie się spotkaliśmy – odpowiedział dyrektor tonem, który znowu przysporzył mu kilka punktów.

– Pan zjawił się w szkole przede mną – kontynuowała Iza. – I tu mamy pierwszą nieścisłość. Czy najpierw straszyl pan poprawczakiem mojego syna czy sądem panią...

– Kostrzewską – raz jeszcze uczynnie podpowiedział dyrektor. Widziała, że z całych sił próbuje ukryć, jak bardzo bawi go ta sytuacja, i w tych okolicznościach była mu nawet skłonna wybaczyć tę piramidkę.

Rawicz wyprostował się, poprawił i przyklepał krawat, a następnie oparł łokieć na biurku i nachylił się do niej.

– Pani syn to smarkaty bandzior, który zaatakował znieńacka mojego. Za takie rzeczy...

– Znieńacka? Naprawdę? Taka jest pana wersja? Znieńacka?

Rawicz z miejsca póczerwieniał.

– Nie skończyłem! – warknął.

– Panie Rawicz, proszę – odezwał się Olszewski. – Rozumiem nerwy, to nie jest łatwa sytuacja, ale...

– O nie, to jest bardzo prosta sytuacja, panie dyrektorze – odparł Rawicz. – Sytuacja jest taka, że syn tej pani uderzył mojego syna. Bez powodu. I nie zamierzam tego tak zostawić! Ani zamiatać pod dywan!

– Nikt nie zamierza niczego zamiatać pod dywan, panie Rawicz – zapewnił dyrektor. – Właśnie dlatego tu wszyscy jesteśmy.

Iza zerknęła na telefon. Kolejny esemes od Ewy: „Stara mąka była. Dlatego nie rośły”. No, pomyślała, przynajmniej jedna sprawa mniej. Policzyła w głowie do pięciu i odezwała się najspokojniej jak potrafiła:

– Nikt nie zaprzecza, że mój syn uderzył pańskiego, ale nie wiem, czy Kajetan powiedział panu dlaczego. Wie pan, co pana syn powiedział na mój temat?

Rawicz machnął ręką.

– Słyszałem. To bzdura. Kajetan tak nie powiedział.

Iza wzruszyła ramionami.

– Skoro tak, to sprawa zamknięta. Bo mój go nie uderzył. Kajetan pewnie wpadł na ścianę.

Rawicz potrząsnął głową.

– Ta rozmowa robi się kuriozalna – stwierdził.

– Zgadzam się – potwierdziła.

– Ja rozumiem, że pani jako matka za wszelką cenę będzie próbowała bronić swojego syna...

– Nie, panie Rawicz. Nie za wszelką. Na przykład wbrew temu, co myśli i opowiada o mnie pana syn, nie zamierzam w tej sprawie nikomu obciążać.

Rawicz zamarł z otwartymi ustami. Zamrugał kilka razy, odchrząknął i spojrzał na nie mniej zaskoczony Olszewskiego.

– Pan to słyszał? – upewnił się.

– Słyszał, bo to powiedziałam – odpowiedziała za dyrektora Iza. – I nawet powtórzę. Jeśli na takie rozwiązanie sprawy pan liczył, to bardzo mi przykro.

– Pani nie jest poważna!

Pokręciła głową.

– Nie, proszę pana, nie jestem. Ale też i trudno mi zachować powagę w obliczu kogoś, kto sugeruje, że podobne rozmowy powinny się odbywać wyłącznie w męskim gronie, kto wybiórczo zaprzecza faktom mimo świadków i kto wreszcie straszy w szkole małego chłopca,

bo ten pobił się z kolegą... Nie skończyłam, więc proszę przestać łapać co chwilę powietrze jak karp! Jeśli pan chce, żebyśmy potraktowali tę sprawę poważnie, to możemy. Pan naśle prawnika na mojego syna i szkołę, ja na pana za zastraszanie mi dziecka. Do tego zgłoszę do szkolnego pedagoga, a także pewnie do opieki społecznej kwestię związaną ze słowami pana syna i wszystkim, co się z tym wiąże. Bo seks oralny to nie jest temat dla jedenastolatka. Zareagują albo nie, ale może mi pan wierzyć, sprawdzę to jeszcze dziś. I oczywiście, jeśli będzie taka potrzeba, Nikodem przeprosi pana syna publicznie, na apelu, przy całej szkole, ale zapewniam pana, że choćbym miała mu osobiście te przeprosiny napisać, choćby miał się tego uczyć jak wierszyka do pieprzonej recytacji, zrobi to tak, że koledzy nie przestaną Kajetanowi dokuczać do końca studiów!

Zapadła cisza.

– Pani mnie straszy? – zapytał w końcu Rawicz.

– Nie, proszę pana – odpowiedziała Iza. – Ja tylko tłumaczę, dla czego wolałabym mimo wszystko nie traktować tu wszystkiego specjalnie poważnie.

Podniosła telefon i spojrzała na wyświetlacz.

– No dobrze, czy możemy wreszcie zacząć ustalać jakieś konkrety?

Zjawili się o jedenastej pięćdziesiąt trzy. Biały ford transit zatrzymał się na przejściu dla pieszych tuż przed wjazdem na rynek, by przepuścić kobietę pchającą głęboki wózek. Drelich był niemal pewien, że to oni, ale z tej odległości nie widział ani kierowcy, ani pasażera, więc w pełnej gotowości poczekał, aż pojazd wjedzie na rynek i ustawi się do niego bokiem. Gdy zobaczył czarno-czerwone logo Gwarant Security, włączył stoper, wstał i ruszył, zarzucając plecak. W lewej ręce trzymał zalaminowany kartonik podklejony dwustronną taśmą. Przekraczając próg Centrum Techniki Ciepłno-Sanitarnej, przykleił go do zamkniętego skrzydła drzwi. Napis na kartoniku przepraszał potencjalnych klientów, informując jednocześnie, że właśnie trwa przyjęcie towaru.

W środku panował półmrok. Drelich zdjął okulary przeciwsłoneczne i wcisnął je do kieszeni. Minął drzwi po prawej wiodące do niewielkiej przybudówki na potrzeby obsługi bankomatu i szereg rozstawionych na paletach piecyków gazowych. Stojący za szeroką ladą starszy mężczyzna jeszcze się nie zorientował, że ktoś wszedł, i wciąż układał coś na środkowych półkach rozłożystego regału.

Drelich zerknął na zegarek. Czterdzieści sześć sekund od wstania z ławki. Bardzo sprawnie. Od lady dzieliło go już może z pięć kroków.

Wtedy facet go usłyszał i odwrócił się powoli.

Miał zmęczoną, pomarszczoną twarz, a niezdrowa żółtawa skóra wisiała na policzkach i pod brodą, jakby niedawno stracił sporo na wadze. Na zgrubieniu kartoflowatego nosa opierały się okulary półławkowe.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał skrzekliwym głosem.

Drelich miał gotową odpowiedź na wypadek, gdyby mężczyzna – wiedział, że nazywa się Kazimierz Wolny, ma sześćdziesiąt siedem lat, jest żonaty i jako właściciel Centrum siedzi tu sam codziennie do trzynastej – zauważył go pośrodku sklepu. Teraz szkoda już było czasu na rozmowy. Przyspieszył, mijając ladę.

– Proszę pana, tu nie wolno..

Drelich wyciągnął rękę, złapał Wolnego za połą sztruksowej marynarki i mocno szarpnął, odwracając go tyłem do siebie. Nie wymagało to za wiele wysiłku. Był większy od sprzedawcy – przy wzroście metr osiemdziesiąt trzy ważył około dziewięćdziesięciu kilo – i w naprawdę dobrej kondycji, czego właściciel Centrum Techniki Ciepłno-Sanitarniej na pewno nie mógł o sobie powiedzieć. No i dochodziły jeszcze element zaskoczenia oraz technika. Drelich nie robił tego pierwszy raz.

Przywarł do niego, kładąc mu lewy łokieć na ramieniu i obejmując go prawą ręką za szyję tak, żeby biceps uciskał tętnicę. Prawą dłoń położył na zgięciu lewej ręki, a lewą na karku Wolnego, przyciskając do niej twarz. Zacisnął i w ten sposób zablokował również tętnicę z drugiej strony.

Wzmocnił uścisk i liczył cicho, patrząc na drzwi i nie zważając na szarpanie i wierzganie starszego mężczyzny. Trzy sekundy, pięć, siedem. Gdy Wolny przestał się szarpać, Drelich zaciągnął bezwładnego na zaplecze. Z plecaka wyjął srebrną taśmę i dwie długie trytytki, po czym skrzepował Wolnemu ręce i nogi oraz zakleił usta. Dopiero wtedy uniósł ofierze nogi, czekając, aż mężczyzna odzyska przytomność.

Zerknął na zegarek. Minuta trzydzieści siedem od wstania z ławeczki. Konwojenci powinni od co najmniej dwudziestu siedmiu sekund gramolić się już z auta. Pewnie ich kierowca przy okazji sklął na czym świat stoi tego kretyna z kangoo za parkowanie na chodniku, nie myśląc, że właśnie sam chciał zrobić dokładnie to samo.

Drelich zakładał, że opuszczenie pojazdu i przejście tych kilku metrów zajmie im przynajmniej półtorej minuty. Przy takim ostrożnym szacunku została mu minuta.

Właściciel sklepu przebudził się, zamrugnął i szarpnął nerwowo. Drelich, wciąż trzymając w górze jego nogi, nachylił się do przodu, by spojrzeć mu w oczy.

– Nie zabiorę niczego z twojej kasy – zapewnił cicho. – Nie zrobię ci też większej krzywdy niż teraz, o ile nie będziesz się szarpał.

W najgorszym przypadku za mniej więcej godzinę zjawi się tu twoja córka i cię uwolni, choć gdybym miał się zakładać, powiedziałbym, że poleżysz tak góra piętnaście minut. Jeżeli natomiast będziesz hałasował, będę musiał skrzywdzić naprawdę poważnie ciebie i jeszcze dwie osoby. Zrozumiałeś?

Kazimierz Wolny zamrugał raz i drugi, wreszcie powoli skinął głową.

– Świetnie.

Drelich opuścił jego nogi i znowu zerknął na stoper. Zostało trzydzieści sekund. Wstał, zdjął czapkę i przeczesał włosy. Z plecaka wyjął dwa tasery. Pierwszy wetknął za pasek spodni, drugi wziął do lewej ręki i zważył, upewniwszy się po raz nie wiadomo który, że dobrze leży. Do jednej tylnej kieszeni upchnął też kilka niespiętych trytytek, a do drugiej kilka szerokich pętli.

Na rączce tasera miał magnes, do którego teraz przymocował plastikową podkładkę do papieru z kilkoma kartkami wpiętymi pod klips – dzięki temu wyglądał, jakby sprawdzał z dokumentacją przyjęty towar, a w razie potrzeby wystarczyłby jeden szybki ruch i podkładka poleciałaby w kąt.

Tak przygotowany, wyszedł z zaplecza akurat w chwili, gdy konwojenci weszli do budynku.

Dwaj mężczyźni w kamizelkach, obaj postawni, choć jeden, ten asekurujący i w hełmie, zdecydowanie powinien popracować nad brzuchem. Drelich starał się nie patrzeć na broń uwieszoną na pasku. Wystarczyła mu świadomość, że tamci są uzbrojeni i pewnie w jakimś stopniu przeszkoleni do użycia broni.

Przynajmniej żaden z nich nie jest kobietą, pomyślał. Wiedział, że w ciągu najbliższej minuty wszystko się rozstrzygnie.

– W czymś panom pomóc? – zapytał głośno, widząc zdziwienie malujące się na ich twarzach. W takich sytuacjach liczyło się, kto pierwszy się odezwie, kto pierwszy pokaże, że ma prawo tu być – atak uprzedzający, który wywołuje dwukierunkowe zaskoczenie. A to, zamiast dzielić, łączy.

– Cholera, nikt mnie nie uprzedził o panów wizycie. Powinienem, nie wiem, zamknąć sklep albo coś?

Wyszedł zza kontuaru i ruszył w ich stronę, trzymając prawą rękę daleko od ciała, a lewą zgiętą w łokciu, tak by dłoń z podkładką znajdowała się blisko żeber. Konwojenci poruszali się wolno, pewnie przyzwyczajali oczy do półmroku. Brał to pod uwagę, choć nie zakładał, że tak będzie. Stryj Józef często powtarzał, żeby mieć nadzieję na najlepsze, ale liczyć się z najgorszym. Oczywiście sam tego nie wymyślił, tylko ukradł komuś i używał jak swojego. W tym zawsze był dobry.

– To znaczy i tak mamy zamknięte, przyjęcie towaru, ale zawsze może ktoś wejść z ulicy, karteczki nie zobaczyc...

– Nie trzeba zamykać – zapewnił ten gruby chropowatym niskim głosem, pasującym do spracowanej twarzy. Na krzywym nosie miał zgrubienie u nasady przypominające o złamaniu. – A w ogóle to pan Kazimierz gdzie?

– Wujek? Skoczył na moment do apteki, pewnie się zagadał. – Drelich cały czas skracał dystans. – Swoją drogą, nie widzieliście tam panowie naszego dostawcy? Już z dziesięć minut temu wyszedł pieniądze rozmiąć.

– To ten kutas, co na chodniku stanął? – zapytał młodszy z konwojentów. Wyższy o pół głowy od tamtego i ogolony na łyso, na pewno dużo czasu spędzał na siłowni, ale wnioskując po ruchach, gładkiej buźce i tym, jak w pierwszej chwili się spiął, raczej nie był sprawdzony w boju. Teraz odzyskał rezon i cwaniakował.

– Kutas nie kutas, muszę się z nim rozliczyć, bo mi sklepu otworzyć nie wolno. – Drelich uniósł rękę z podkładką, ale ostrożnie, by nie pokazać tasera. – Noż cholera, gdzie on jest?

Przyspieszył nieznacznie i skręcił tak, by odnieśli wrażenie, że chce ich obejść szerokim łukiem. Poczekał, aż łyso otworzy drzwi i zrobi krok w głąb wnęki z bankomatem, a gruby ustawi się bokiem do niego i frontem do wejścia, by obserwować drzwi. Wtedy zaatakował.

Skoczył gwałtownie, machnięciem ręki odrzucił podkładkę i nim ta dotknęła ziemi, przysunął taser do szyi mężczyzny. Nacisnął przycisk. Rozległa się seria trzasków, a gruby spiął się, zeszytywniał i ni to zacharczał, ni zabulgotał, przewracając oczami. Potem zwiotczał, osuwając się na kolana. Łysy, który właśnie przyklęknął, by otworzyć maszynę, zdążył się tylko obejrzeć. Drelich płynnie przeszedł za plecami grubego, wyrwał zza paska drugi taser i poraził go, gdy konwojent próbował uniknąć tego w lewej ręce, po czym korzystając z przewagi wysokości, kopnął go z kolana w twarz. Chrząst i jęk zwiastowały złamanie nosa.

– Ręce, młody, przed siebie. Razem.

Drelich odrzucił jeden taser na bok – sięgnął po trytytkową pętlę. Wysypały się wszystkie, ale to nie był problem, w przeciwieństwie do biernego oporu ze strony chłopaka.

– Naprawdę nie chcę cię zabijać, chłopcze – powiedział przerażająco spokojnie, głosem wyćwiczonym tak w teorii, jak i bojowej praktyce. – Ani szukać potem na podstawie twojego dowodu całej rodziny, by zrobić jej coś naprawdę paskudnego. Więc ręce, kurwa, przed siebie, razem. Liczę do trzech. Raz...

Na „dwa” zacisnął pętle na nadgarstkach łysego. Potem luźną trytytką spiął mu nogi, a następnie unieruchomił też grubasa.

Obejrzał się na drzwi, nagle pewien, że kogoś tam zobaczy. Przypadkowego gapia, człowieka, który nie zauważył kartki, kogokolwiek. Przez pięć dni, kiedy obserwował ten sklep, przyjeżdżając tu co rano z innego z okolicznych miast, widział tylko siedmiu klientów. Ale może właśnie teraz, właśnie w czasie tej jednej kluczowej minuty, przyszedł czas na klienta numer osiem?

W progu jednak nikogo nie było. Złapał kasetkę, którą przyniósł łysy. Nie wiedział, ile jest w środku, ale na liczenie łupu przyjdzie czas za chwilę, teraz musiał sprawnie się stąd wydostać.

Zebrał trytytki, podniósł drugi taser. Jeszcze raz zerknął w stronę drzwi, poderwał się i pognął na zaplecze, skąd zabrał swoje rzeczy. Z plecaka wyjął przygotowaną wcześniej pustą torbę z logo DHL-u

i założył na ramiona, a kasetkę wpakował do torby, zakleił ją, po czym jak gdyby nigdy nic zaniósł oburącz do auta.

– Przepraszam pana bardzo – zaczepił przechodzącego obok mężczyznę. – Czy mógłby mi pan przytrzymać paczkę? Muszę wyjąć kluczyki, a nie chcę kłaść na ziemi.

Wysoki szesnasto-, może siedemnastolatek, wyraźnie doceniony potraktowaniem go jak dorosłego, ochoczo przejął przesyłkę.

– Ciężkie – stwierdził. – Co pan tam ma?

Drelich wzruszył ramionami.

– Trochę zbędnego kosztownego żelastwa – odparł. Otworzył drzwi do kangoo i przejął paczkę. Położył ją ostrożnie na przednim siedzeniu. – Dziękuję panu bardzo.

– Drobiazg – odparł chłopak.

Drelich bez pośpiechu obszedł auto, posyłając długie spojrzenie dziewczynie siedzącej za kółkiem transita konwojentów. Ładna, drobna, z zaciętą, skupioną miną. Złapał się na myśli, jakby mu poszło, gdyby to ona weszła do środka.

Na zegarek zerknął, dopiero gdy zjechał z rynku w Jana Pawła. Brakowało piętnastu sekund do dwunastej.

**MAREK DRELICH TO ZAWODOWY ZŁODZIEJ,
DOSKONAŁY W SWOIM FACHU.
ZAWSZE SKUPIONY, OPANOWANY,
A GDY TRZEBA – BEZWZGLĘDNY I BEZLITOSNY.
SPRAWIA WRAŻENIE CZŁOWIEKA, KTÓREGO
NIE DA SIĘ ZASKOCZYĆ.**

Ale Drelich ma też drugie oblicze. To facet, który stara się utrzymać bliskie relacje z byłą żoną i dwójką dorastających dzieci. Do tej pory, dzięki starannie wyznaczanym granicom, udawało mu się te dwa życia trzymać z dala od siebie. Okazuje się jednak, że nie wszystko ma pod kontrolą.

Na przedmieściach Gdańska pewien gangster odkrywa długo skrywaną sekret swojej żony. Tajemnicę, która wiąże się z Drelichem i która wystawi zarówno złodzieja, jak i jego najbliższych na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Czy walcząc o rodzinę, Drelich wykaże się profesjonalizmem? Czy wypracowywane latami sztuczki pozwolą mu ocalić to, na czym mu naprawdę zależy?

Drelich. Prosto w splot to dynamiczna powieść sensacyjna z domieszką thrillera, trzymająca w napięciu i przełamująca zgrane schematy. Czerpiąca z najlepszych amerykańskich wzorców, ale też świetnie osadzoną w polskiej rzeczywistości.

**KUP
TERAZ!**

cena 39,90 zł



w sprzedaży także



PATRONAT MEDIALNY



lubimyczytać.pl

PORTAL
KRYMINALNY

